

Zabójstwo przy rue Morgue



EDGAR ALLAN POE

Zabójstwo przy rue Morgue

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Jakie pieśni śpiewały Syreny lub jakie imię przybrał Achilles, gdy ukrywał się między kobietami? Są to zagadnienia wprawdzie kłopotliwe, ale nie leżące poza obrębem wszelkich przypuszczeń.

[Sir Thomas Browne]

Zdolności umysłowe zwane analitycznymi nie nadają się w swej istocie zbyt do analizy. Oceniamy je tylko wedle ich wyników. Wiemy o nich między innymi, iż dla osób, które posiadają je w nieposzrednim stopniu, bywają one zawsze źródłem najwyższej radości. Podobnie jak człowiek silny cieszy się swą cielesną krzepkością i lubuje się w ćwiczeniach, które wymagają sprawności jego mięśni, tak samo analityk szuka chluby w czynności umysłowej, która polega na rozwikływaniu. Lubuje się nawet w zajęciach najpospolitszych, które nastroczają mu sposobność do zastosowania swych uzdolnień. Przepada za łamigłówkami, zagadkami, hieroglifami. Okazuje we wszystkich swych rozwiązaniach tyle przenikliwości, iż w pojmowaniu zwyczajnym wydaje się ona nadprzyrodzona. Wyniki jego, osiągnane przez najistotniejszą treść i ducha metody, mają rzeczywiście wszystkie znamiona intuicji.

Ta zdolność rozkładania zjawisk złożonych wzmaga się wielce pod wpływem wiedzy matematycznej, w szczególności zaś pod wpływem najznamienitszej jej gałęzi, nazywanej niesłusznie i jedynie ze względu na jej działanie wsteczne analizą, jak gdyby to była analiza *par excellence*¹. Bowiem kalkulacja nie jest w swej istocie analizą. Na przykład szachista stosuje pierwszą, nie uciekając się wcale do pomocy drugiej. Wynika stąd, iż wpływu gry w szachy na podłoże psychiczne zupełnie się nie rozumie. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz zwykłą przedmowę do nieco osobliwej opowieści i rzucam pobieżne spostrzeżenia. Korzystam zatem ze sposobności, by zapewnić, że subtelniejsze władze intelektu refleksyjnego o wiele istotniejsze i o wiele pożyteczniejsze znajdują zastosowanie przy niepozornej grze w warcaby niż przy pracowitej czczości szachów. W tej drugiej grze, w której figury mogą wykonywać ruchy rozmaite i dziwaczne oraz posiadają różną i zmienną wartość, złożoność uchodzi mylnie (błąd nader pospolity!) za głębokość. Uwaga ma w niej ogromne znaczenie. Dość, by osłabła na chwilę, by coś się przeoczyło, a wyniknie stąd porażka lub przegrana. Ponieważ możliwe są posunięcia nie tylko różnorodne, lecz także niejednakie co do swego znaczenia, przeto prawdopodobieństwo owych przeoczeń wielce się pomnaża; i w dziewięciu wypadkach na dziesięć wygrywa raczej gracz uważniejszy niż bystrzejszy. Natomiast w warcabach, gdzie ruchy są proste i przedstawiają niewiele odmian, prawdopodobieństwa nieuwagi się zmniejszają, zaś sama tylko czujność ma względnie niewielkie zastosowanie, skutkiem czego przewaga bywa po stronie bystrzejszej przenikliwości. Pomińmy te ogólniki i wyobraźmy sobie grę w warcaby, gdzie figury są ograniczone do czterech królów, więc na przeoczenia liczyć nie można. Ponieważ żaden z graczy nie ma przewagi, przeto o ostatecznym zwycięstwie może rozstrzygnąć tylko przezorna taktyka, będąca wynikiem potężnego wysiłku intelektualnego. Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do niedorzeczności prosty), jak go wciągnąć w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia.

Wist² od dawna już jest znany ze swego wpływu na zdolności kalkulacyjne i bywają

¹*par excellence* (fr.) — w całym znaczeniu tego słowa, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

Rozum

Gra

Gra

ludzie uposażeni najlotniejszą inteligencją, którzy znajdują w nim niezrozumiałe na pozór upodobanie, a natomiast lekceważą szachy jako grę błahą. Jakoż bez wątpienia nie ma podobnej rozrywki, która by w równej mierze zaprzętała zdolność analityczną. Najlepszy w całym chrześcijaństwie szachista nie może być niczym innym, jak tylko najlepszym szachistą, gdy tymczasem pomysłowość w wiście zawiera zapowiedź powodzenia w tych wszystkich nierównie ważniejszych przedsięwzięciach, gdzie umysł pasuje się z umysłem. Mówiąc o zapowiedzi, mam na myśli ową doskonałą umiejętność gry, która mieści w sobie znajomość wszystkich źródeł mogących zapewnić rzetelne korzyści. Są one nie tylko różnolite, lecz także różnorodne i kryją się często w głębiach myślowych najzupełniej niedostępnych dla pospolitego pojmowania. Czynić spostrzeżenia uważnie jest to przypominać sobie dokładnie; z tego względu szachista bardzo uważny będzie również dobrze grał w wista, ile że reguły Hoyle'a (opierające się na najprostszym mechanizmie gry) są łatwe i powszechnie zrozumiałe. Dość zatem mieć dobrą pamięć i „trzymać się podręcznika”, żeby wedle przyjętego mniemania osiąść to wszystko, co jest potrzebne do dobrej gry. Atoli dopiero w szczegółach, które wybiegają poza obręb reguł, przejawia się pomysłowość analityka. W milczeniu gromadzi on spostrzeżenia i wnioski. Być może, iż w podobny sposób postępują także jego towarzysze, zaś różnicę w nabytej przez nich znajomości rzeczy stanowi nie tyle ważność wniosków, co jakość spostrzeżeń. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, co należy obserwować. Nasz gracz nie ogranicza się tylko do siebie i jakkolwiek gra jest przedmiotem jego uwagi, nie pomija wniosków z rzeczy, które z grą nie mają nic wspólnego. Przygląda się twarzy swego partnera i starannie porównuje jej wyraz z wyrazem każdego z jego przeciwników. Zastanawia się nad sposobem rozdawania kart przez każdego z partnerów i często ze spojrzeń rzucanych na karty liczy kolejno wszystkie atuty i wszystkie honory. Zwraca uwagę na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w wyrazach twarzy w miarę postępu gry, gromadząc zasób myśli z naprzemiennych przejawów pewności siebie, niespodzianki, tryumfu lub przygnębienia. Ze sposobu zagarniania lewy wnioskuje, czy zagrywającemu uda się wziąć następną. Poznaje kartę zagraną na podrywkę ze sposobu rzucenia jej na stół. Mimowolne lub nierozważne słowo; przypadkowo odwrócona lub upuszczona karta, którą podnosi się pośpiesznie lub niedbale; liczenie lew oraz porządek, w jakim je się układa; zakłopotanie, wahanie, zapalczywość lub lękliwość — wszystko to dostarcza mu wskazówek co do prawdziwego stanu rzeczy i sprzyja jego przenikliwości, na pozór intuicyjnej. Po dwu lub trzech pierwszych kolejkach wie on już dokładnie, co jest w czyich rękach, i może odtąd wygrywać swe karty, z taką ścisłością zmierzając do celu, jak gdyby wszyscy inni gracze pokazali mu swoje.

Zdolności analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą bystrością, gdyż o ile analityk jest nieodzownie bystry, o tyle człowiek bystry bywa często najzupełniej niezdolny do analizy. Zręczność konstruktywna lub kombinacyjna — którą ta bystrość zazwyczaj się objawia i której frenologowie³ wyznaczyli (zdaniem moim błędnie) osobny narząd, uważając ją za władzę pierwszorzędną — spotykana jest tak często u osobników, których intelekt graniczy poza tym z matółkowatością, iż zwróciło to już powszechną uwagę psychologów. Między bystrością a uzdolnieniem analitycznym istnieje zaiste znacznie większa różnica aniżeli między fantazją a wyobraźnią, aczkolwiek co do charakteru są one najzupełniej podobne. Jakoż można sprawdzić, iż ludzie bystrzy powodują się zawsze fantazją, gdy ludzie

Rozum

Opowieść następująca będzie dla czytelnika niejako komentarzem rozwidniającym wyluszczone przed chwilą zasady.

Spędzając w Paryżu wiosnę i część lata 18... roku, zawarłem znajomość z niejakim C. Augustem Dupinem. Wytworny ten młodzieniec pochodził z poważanej — ba, nawet znakomitej rodziny, atoli całe mnóstwo niepomyślnych wydarzeń pogrzyżyło go w takim ubóstwie, iż ugięła się pod nim moc jego charakteru i przestał torować sobie drogę w życiu, nie troszcząc się już o odzyskanie swych majątkości. Uprzejmość wierzycieli pozostawiła mu niewielkie resztki dziedzicznego mienia. Były one dla niego źródłem dochodów, które przy zachowaniu najściślejszej oszczędności wystarczały mu na najko-

²wist — dawna gra w karty podobna do brydża, popularna w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

³frenolog — osoba zajmująca się nauką o budowie czaszki i wniosująca z tego o zdolnościach człowieka. [przypis edytorski]

nieczystsze potrzeby życia, a o rzeczy zbyteczne zgola się nie troszczył. Toteż jedynym jego zbytkiem były książki, o które w Paryżu nietrudno.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w podrzędnej księgarni przy rue Montmartre; poszukiwaliśmy obaj tego samego, nadzwyczaj rzadkiego i cennego dzieła i to nas zbliżyło. Później widywaliśmy się coraz częściej. Wielce zajęła mnie powszednia historia jego rodziny, o której opowiadał mi szczegółowo i najzupełniej szczerze, jak to zazwyczaj czynią Francuzi, gdy mówią o swych osobistych sprawach. Zdziwiła mnie wszechstronność jego czytania, zaś przede wszystkim ujęła mnie za serce dziwna ognistość i bujna świeżość jego wyobraźni. Szukając w Paryżu pewnych rzeczy, które podówczas jedynie mnie obchodziły, zrozumiałem, iż towarzystwo takiego człowieka może stać się dla mnie bezcennym skarbem i wyznałem mu otwarcie, co myślę o nim. Postanowiliśmy tedy, że będziemy żyli razem przez cały czas mego pobytu w stolicy; a ponieważ moje sprawy doczesne były wtedy nieco mniej zawile aniżeli jego, przeto podjąłem się wynająć i urządzić w stylu fantastycznej melancholii wspólnych naszych upodobań odwieczne i dziwaczne domostwo, opustoszałe od dawna skutkiem jakichś zabobonów — o które wcale nie dowiadaliśmy się — chyłące się do upadku i położone w ustronnej i odludnej polaci Faubourg St. Germain⁴.

Gdyby wiedziano o trybie naszego życia w tym domu, bylibyśmy uważani za szaleńców — aczkolwiek być może za nieszkodliwych. Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie bywał. Zachowywaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi moimi znajomymi, a już wiele lat upłynęło od czasu, kiedy Dupin przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych.

Dziwacznym wybrykiem (nie wiem zresztą, jak to nazwać) wyobraźni mojego przyjaciela było jego umiłowanie nocy dla niej samej; poddałem się spokojnie temu jego dziwactwu, podobnie zresztą jak wszystkim innym, ulegając zupełnie jego osobliwym zachciankom. Posępne bóstwo nie mogło przecież stale przebywać z nami, ale było w naszej mocy wywołać sztucznie jego obecność. Z pierwszym brzaskiem zamykaliśmy szczelnie okiennice naszej starożytnej rudery, po czym zapalaliśmy parę nasyconych wonnościami gromnic, jarzących się ogromnie nikłą i bładawą poświatą. Zagłębialiśmy się przy tym świetle w marzeniach, czytając, pisząc lub rozmawiając aż do chwili, kiedy zegar zwiastował nam nastanie rzeczywistej ciemności. Wziąwszy się wzajem pod ramię, zaprzepaszczaliśmy się wtedy w gmatwaninie ulic, snuliśmy dalej wątek naszych dziennych rozmów i wałęsaliśmy się do późnej nocy, szukając w igrasce światła i cieni ludnego miasta tej nieskończoności pobudeń duchowych, bez której spokojna spostrzegawczość obejść się nie może.

W podobnych chwilach zastanawiała mnie i napełniała podziwem osobliwa zdolność analityczna Dupina, aczkolwiek znając już jego szczodry idealizm, mogłem jej po nim się spodziewać. Zdawało się, iż wykazywanie jej — jeżeli nawet nie popisywanie się nią — sprawiało mu jakąś żywą rozkosz, której zresztą nie taił i przyznawał się otwarcie, że jest pod jej urokiem. Chępił się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego uśmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi i zdumiewającymi dowodami dokładnej znajomości mej własnej natury. Zachowanie jego w takich chwilach bywało ozięble i roztargnione; oczy pozbywały się wyrazu; piękny, tenorowy jego głos przedzierzał się w dyszkant⁵ i byłby się stawał niemal wyzywający, gdyby nie posiadał akcentu rozwagi tudzież ogromnej wyrazistości wypowiedzenia. Rozmyślając o tych jego właściwościach, pogrążałem się nieraz w zadumie nad starodawną teorią Duszy Dwoistej i snulem marzenia o Dupinie podwójnym — twórcy i analityku.

Niechaj nikt sobie nie wyobraża po tym, co powiedziałem, że zamierzam zgłębiać jakąś tajemnicę lub pisać powieść. To, co było godne zastanowienia w mym przyjacielu Francuzie, wynikało z inteligencji podnieconej do najwyższego stopnia, a może nawet chorobliwej. Atoli przykład da lepsze wyobrażenie o charakterystycznych właściwościach jego ówczesnych spostrzeżeń.

⁴*Faubourg Saint-Germain* (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

⁵*dyszkant* — wysoki głos chłopięcy. [przypis edytorski]

Pewnej nocy szliśmy długą i brudną ulicą przebiegającą w pobliżu Palais-Royal⁶. Pograżeni w myślach, nie przemówiliśmy do siebie ani słowa co najmniej przez jakieś piętnaście minut. Naraz Dupin przerwał milczenie słowami:

— Masz słuszność, to istny karzeł i nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés⁷.

— O tym chyba nikt nie wątpi — odparłem bezwiednie, zrazu nie zdając sobie sprawy (tak bardzo byłem pograżony w zadumie) ze szczególniejszej zgodności, jaka zachodziła między tymi słowami a moimi myślami. Lecz wnet opamiętałem się i moje osłupienie nie miało granic.

— Dupin — rzekłem poważnie — to przechodzi moje pojęcie. Wyznaję otwarcie, że jestem zdumiony i nie wiem, czy mam ufać mym zmysłom. Skąd ty możesz wiedzieć, że myślałem o...?

Nie dopowiedziałem umyślnie, by upewnić się, że wie istotnie, o kim myślałem.

— O Chantillym — rzekł. — Dlaczego nie kończysz? Pomyślałeś sobie, że jego niepozorna postać nie nadaje się do tragedii.

Właśnie dokoła tego tematu snuły się moje rozmyślenia. Chantilly był podrzędnym szewczykiem z rue St.-Denis, dostał bziką teatralnego, porwał się na rolę Kserksesa w tragedii Crébillona⁸ i stał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

— Wyjaśnij mi, na miłość boską, metodę — zawołałem — jeżeli w tym jest jakaś metoda, za pomocą której zdołałeś przeniknąć mą duszę!

Istotnie byłem znacznie więcej stropiony, aniżeli chciałem mu to okazać.

— To przekupień z owocami — odparł mój przyjaciel — naprowadził cię na wniosek, że ten łątach obuwia nie ma odpowiedniego wzrostu na Kserksesa *et id genus omne*⁹.

— Przekupień! Co ty mówisz! Nie znam żadnego przekupnia!

— Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy skręcali w tę ulicę przed jakimiś piętnastoma minutami.

Przypomniałem sobie istotnie jakiegoś niezdarne go przekupnia, który niósł na głowie wielki kosz jabłek i omal mnie nie przewrócił, gdyśmy skręcali z rue C... w bocznice, na której się zatrzymaliśmy. Lecz co to miało wspólnego z Chantillym, nie mogłem żadną miarą zrozumieć.

W Dupinie nie było ani cienia szarlatanerii.

— Wytłumaczę ci — powiedział. — Chcąc jednak, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, wyluszczę ci przede wszystkim kolejny przebieg twoich rozmyślań od chwili, kiedy mówiłem do ciebie, aż do zderzenia z owym przekupniem. Dalsze ogniwa łańcucha są następujące: Chantilly, Orion, dr Nichols, Epikur, stereotomia, kamienie brukowe, przekupień.

Niewiele jest osób, które by w pierwszym okresie swego życia nie zabawiały się odnajdywaniem śladów, które je doprowadziły do takich lub owakich wniosków. Zajęcie to miewa niekiedy duże znaczenie; podejmując je po raz pierwszy, nie można się dość nadszwić pozornej niespójności i bezgranicznej oddali, która dzieli punkt wyjścia od celu. Jakież zatem było moje osłupienie, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Francuza i musiałem przyznać, że mówił prawdę. Tymczasem ciągnął on dalej:

— Pamiętam dokładnie, iż wychodząc z rue C..., mówiliśmy o koniach. Był to ostatni przedmiot naszej rozmowy. Gdyśmy skręcili w ulicę, którą idziemy obecnie, jakiś przekupień z wielkim koszem na głowie, przechodząc śpiesznie obok nas, popchnął cię na kupę kamieni, przygotowanych w tym miejscu do naprawy bruku. Nastąpiłeś na jakiś chwiejący się kamień, pośliznąłeś się, z lekka wywichnąłeś sobie nogę, wyglądałeś na podrażnionego czy rozgniewanego, mruknąłeś kilka słów, odwróciłeś się, by spojrzeć na

⁶Palais-Royal (fr.: Pałac Królewski) — pałac w centrum Paryża; dawna siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

⁷Théâtre des Variétés (fr.: Teatr Rozmaitości) — popularny paryski teatr wystawiający głównie lekkie formy sceniczne: komedie, wodewile, operetki i rewie, mieszczący się przy Boulevard Montmartre 7. [przypis edytorski]

⁸Crébillon, Prosper Jolyot de (1674–1762) — francuski dramaturg, autor przesycionych grozą tragedii klasycystycznych, m.in. dramatu *Kserkses*, którego tytułowym bohaterem jest król Persji. [przypis edytorski]

⁹*et id genus omne* (łac.) — i cały ten rodzaj (Horacy, *Satyry* I, I, 2; lekceważąco o osobach niepoważanych). [przypis edytorski]

kamienie, a potem szedłeś dalej w milczeniu. Nie zwracałem zbyt uwagi na to, co robiłeś, ale obserwacja jest dla mnie od dawna po prostu koniecznością.

Miałeś oczy utkwione w ziemię i spoglądałeś jak gdyby gniewnie na koleiny i wyboje w bruku (a miałeś przy tym taką minę, iż mogłem wywnioskować, że wciąż jeszcze myślisz o kamieniach), aż doszliśmy do uliczki zwanej passage Lamartine, wybrukowanej na próbę kostkami drewnianymi, ściśle i spoiście ze sobą połączonymi. Tu twarz ci się rozjaśniła, zauważyłem, że poruszasz ustami, i nie wątpiłem ani przez chwilę, że szepcesz słowo „stereotomia”, używane nader pretensjonalnie na określenie tego rodzaju bruku. Wiedziałem, że nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach¹⁰, a następnie o teoriach Epikura¹¹, ponieważ rozmawialiśmy niedawno o tym przedmiocie, przy czym zdarzyło mi się zauważyć, że luźne przypuszczenia znakomitego Greka, nie zwróciwszy niemal niczyjej uwagi, znalazły jednak przedziwne potwierdzenie w nowoczesnej kosmogonii¹² mgławicowej — przeto wyczułem, że nie zdołasz się powstrzymać od spojżenia na Wielką Mgławicę Oriona, i oczekiwałem na pewno, że to uczynisz. Jakoż spojrzaleś w górę; miałem więc wszelką pewność, że podążam istotnie twoim śladem. Zaś w złośliwej kpinie ze Chantilly’ego, która pojawiła się we wczorajszym „Le Musée”, satyryk, czyniąc uszczypliwe aluzje do zmiany nazwiska przez szewca, co włożył koturny, przytacza wiersz łaciński, o którym niejednokrotnie zdarzało się nam rozmawiać. Mam na myśli wiersz:

*Perdidit antiquum littera prima sonum*¹³.

Powiedziałem ci, iż odnosi się on do Oriona, pierwotnie pisanego Urion, i z pewnej utarczki wywołanej tym wyjaśnieniem wyniosłem przeświadczenie, że nie mogłeś o tym zapomnieć. Było zatem rzeczą oczywistą, iż niezawodnie skojarzysz pojęcia Oriona i Chantilly’ego. Że je istotnie skojarzył, poznałem z uśmiechu, którym drgnęły twe usta. Myślałeś o unicestwieniu biednego szewczyka. Do tej chwili stąpałeś przygarbiony, lecz potem wyprostowałeś się w całej okazałości swego wzrostu. Nabrałem przeto pewności, że zastanawiasz się nad pokraczną figurką Chantilly’ego. Wówczas to przerwałem twą zadumę uwagą, że ten Chantilly to istny karzeł i że nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

W jakiś czas potem, przeglądając wieczorne wydanie „Gazette des Tribunaux”, znaleźliśmy następującą wzmiankę:

NIEZWYKŁE ZABÓJSTWO

Dziś około godziny trzeciej z rana mieszkańców dzielnicy Saint-Roch obudziły przeciągłe i przeraźliwe krzyki, rozlegające się, jak się zdawało, z czwartego piętra domu przy rue Morgue, zamieszkałego w całości przez niejaką Madame¹⁴ L’Espanaye oraz jej córkę, Mademoiselle¹⁵ Camille L’Espanaye. Po niejakiej zwłoce, wywołanej daremnymi usiłowaniami, by wejść do domu w zwykły sposób, wyważono bramę łomem i ośmiu czy dziesięciu sąsiadów w towarzystwie dwu żandarmów wtargnęło do kamienicy. Tymczasem krzyki ucichły; kiedy jednak przybysze wdarli się na pierwsze piętro, dosłyszeli zawziętą kłótnię dwu czy więcej chrapliwych głosów, które zdawały się dolać do górnej części domu. Gdy weszli na drugie piętro, zgiełk ten również

Morderstwo

¹⁰nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach — słowo „stereotomia”, określające sztukę wycinania geometrycznych kształtek, z których układa się elementy budowlane, jest złożeniem greckich słów *stereos* (solidny, dobrze skonstruowany) oraz *tome* (ciąć), zaś słowo „atom” pochodzi od tego samego greckiego czasownika i oznacza: niepodzielny, niedający się pociąć. [przypis edytorski]

¹¹Epikur (341–270 p.n.e) — filozof grecki, atomista i zwolennik tezy, że celem życia ludzkiego jest dążenie do szczęścia. [przypis edytorski]

¹²kosmogonia — właściwie danym wierzeniom lub poglądom filozoficznym wyobrażenie o pochodzeniu wszechświata i jego początkach; także: dział astronomii zajmujący się pochodzeniem i ewolucją ciał niebieskich. [przypis edytorski]

¹³*Perdidit antiquum littera prima sonum* (łac.) — straciła pierwsza litera dawne brzmienie (Owidiusz, *Fasti* V 536); jest to kontynuacja zdania z poprzedniego wersu: „Tak zrodzonego Hyrieus nazwał Urionem”. [przypis edytorski]

¹⁴madame (fr.) — pani. [przypis edytorski]

¹⁵mademoiselle (fr.) — panna. [przypis edytorski]

ustał i zaległa zupełna cisza. Obecni rozproszyli się, przetrząsając pokój po pokoju. Gdy dotarli do obszernej komnaty położonej od tyłu na czwartym piętrze i wyważyli drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz, ukazał się im widok przejmujący zarówno grozą, jak osłupieniem.

Pokój znajdował się w najdzikszym nieładzie; meble były pogruchtane i porozrzucane na wszystkie strony. Było tam tylko jedno łóżko, z którego pościel wyjęto i rzucono na posadzkę. Na krześle leżała brzytwa zbroczone krwią. W kominku spostrzeżono dwa czy trzy długie, grube pasma siwych ludzkich włosów, które także były okrwawione i wyglądały, jak gdyby mocnym szarpnięciem wyrwano je wraz z korzonkami. Na posadzce znaleziono cztery napoleony¹⁶, kolczyk z topazem, trzy duże srebrne łyżki, trzy mniejsze z tak zwanego *métal d'Alger*¹⁷ oraz dwie sakiewki, zawierające prawie cztery tysiące franków w złocie. Szuflady komody stojącej w kącie były otwarte i, jak się zdaje, ograbione, aczkolwiek pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów. Niewielką żelazną szkatułkę znaleziono pod pościelą (nie pod łóżkiem). Była otwarta; klucz tkwił jeszcze w zamku. Nie było w niej nic prócz kilku starych listów tudzież kilku innych, niezbyt ważnych papierów.

Śladów Madame L'Españaye niepodobna było zrazu odszukać, wszelako zauważono niezwykłą ilość sadzy na palenisku, zaczęto szukać w kominie i w końcu (strach powiedzieć!) wydobyto stamtąd trupa jej córki, wtłoczonego przez ciasny otwór głową na dół i wsuniętego dość znacznie w górę. Zwłoki były jeszcze zupełnie ciepłe. Przy badaniu okazało się, że skóra była w wielu miejscach poodcierana, co było bez wątpienia następstwem silnego wtłaczania i nie mniej z kolei silnego wyciągania trupa z komina. Twarz była mocno podrapana, a na szyi widniały ciemne sińce i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła padła ofiarą uduszenia.

Po najstaranniejszym przetrząśnięciu całego domu, które jednakże nie dostarczyło żadnych dalszych poszlak, zebrani wybiegli na niewielkie brukowane podwórze okalające budynek od tyłu. Leżały tam zwłoki staruszki, której szyja była przecięta tak głęboko, iż kiedy chciano trupa podnieść, głowa odpadła od tułowia. Całe ciało wraz z głową było straszliwie pokaleczone i zaledwie zachowało podobieństwo kształtów ludzkich.

Do rozwikłania tej okropnej tajemnicy nie ma dotychczas, o ile nam wiadomo, żadnych poszlak.

Nazajutrz w tymże samym dzienniku znajdowały się następujące szczegóły dodatkowe:

TRAGEDIA PRZY RUE MORGUE

Przesłuchano wiele osób celem wyświecenia tej osobliwej i przerażającej zbrodni, wszelako nie dowiedziano się niczego, co mogłoby dostarczyć jakichkolwiek poszlak. Podajemy poniżej zeznania świadków.

Paulina Dubourg, praczka, zeznaje, iż od trzech lat znała obie nieboszczki, gdyż najmowały ją do prania. Wzajemne stosunki między staruszką a jej córką były, jak się zdaje, dobre — kochały się bardzo. Płaciły hojnie. Nie może nic powiedzieć o ich sposobie życia ani o środkach utrzymania. Przypuszcza, że Madame L'Españaye zarabiała na życie wróżbiarstwem. Mówiono o niej, że zebrała oszczędności. Nie spotykała nigdy w tym domu nikogo, gdy zabierała lub odnosiła bieliznę. Wie na pewno, iż nie było tam służby. Zdaje się jej, że — prócz czwartego piętra — mebli nie było w całym domu.

Piotr Moreau, właściciel sklepiku z tytoniem, zeznaje, iż od niespełna czterech lat dostarczał Madame L'Españaye niewielkich ilości tytoniu i tabaki. Urodził się w sąsiedniej dzielnicy i stale w niej mieszka. Nieboszczka oraz jej córka od przeszło sześciu lat mieszkały w domu, w którym znaleziono ich zwłoki. Poprzednio zajmował go pewien jubiler, który odnajmował górne

¹⁶*napoleon a. napoleonodor* — złota moneta francuska o wartości 20 franków, bita za panowania Napoleona I i Napoleona III. [przypis edytorski]

¹⁷*métal d'Alger* (fr.: metal algierski) — stop metali nieszlachetnych o wyglądzie zbliżonym do srebra. [przypis edytorski]

piętra różnym osobom. Dom był własnością Madame L'Esplanaye. Niezadowolona z lokatora, który rujnował jej kamienicę, sprowadziła się na jego miejsce sama i zaprzestała odtąd wynajmować mieszkania. Staruszka była zdziecinniała. Świadek widział jej córkę jakichś pięć czy sześć razy przez całe sześć lat. Obie żyły nadzwyczaj samotnie — i uchodziły za bogate. Sąsiedzi powiadali, jakoby Madame L'Esplanaye zajmowała się wróżbiarstwem — ale on temu nie wierzył. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktokolwiek wchodził do bramy tego domu prócz staruszki i jej córki; ponadto zachodził tam ze dwa razy jakiś posługacz i z osiem lub dziesięć razy lekarz.

Wiele innych osób z sąsiedztwa potwierdza powyższe zeznania. Nie widywano nigdy, by ktokolwiek był w tym domu. Nikt nie wiedział, czy Madame L'Esplanaye i jej córka miały jakichś krewnych. Okiennice od strony frontowej rzadko stały otworem, od podwórka bywały zawsze zamknięte, prócz okiennic wielkiego pokoju, położonego od tyłu na czwartym piętrze. Dom jest niezły i niezbyt stary.

Izydor Muset, żandarm, zeznaje, iż wezwano go do tego domu około trzeciej z rana i że przed bramą zastał ze dwadzieścia lub trzydzieści osób, które chciały wejść do wnętrza. Otworzył ją w końcu bagnetem, a nie łomem. Przyszło mu to nietrudno, gdyż brama ta składa się z podwoi i nie była zamknięta na zasuwę ani od góry, ani od dołu. Krzyki trwały do chwili otwarcia bramy, po czym nagle ucichły. Były to jakby wrzaski jednej czy kilku osób katowanych — głośnie i przeciągłe, a nie krótkie i urywane. Świadek wbiegł na schody. Na pierwszym piętrze usłyszał dwa głosy ścierające się w donośnej i gniewnej sprzeczce — jeden chrapliwy, drugi znacznie ostrzejszy — dziwny jakiś głos. Udało mu się rozróżnić kilka słów pierwszego głosu, który brzmiał z francuska. Nie był to na pewno głos kobiety. Usłyszał słowa „*sacré*” i „*diable*”¹⁸. Głos przenikliwy brzmiał z cudzoziemska. Nie jest pewny, czy był to głos męski czy kobiecy. Słów nie mógł się dorozumieć, lecz przypuszcza, że były hiszpańskie. To, co świadek zeznaje o pokoju i zwłokach, nie różni się niczym od naszego opisu wczorajszego.

Henryk Duval, sąsiad, z zawodu złotnik, zeznaje, iż należał do osób, które jako pierwsze wtargnęły do domu. Potwierdza na ogół zeznania Museta. Kiedy wraz z innymi wpadł do sieni, zamknął bramę, by nie wpuścić tłumu, który jął się gromadzić mimo wczesnej godziny. Głos przenikliwy, zdaniem tego świadka, brzmiał z włoska. Na pewno nie był to głos Francuza. Nie jest pewien, czy był to głos męski. Mógł być także kobiecy. Świadek nie zna języka włoskiego. Nie mógł rozróżnić słów, lecz z intonacji odniósł wrażenie, że były wyrzeczone przez Włocha. Znał Madame L'Esplanaye i jej córkę. Często rozmawiał z nimi. Jest przekonany, że przenikliwy głos nie był głosem ani matki, ani córki.

Odenheimer, restaurator. Zgłosił się na świadka niewzywany. Nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Pochodzi z Amsterdamu. Przechodził obok owego domu, kiedy rozległy się krzyki. Trwały kilka minut — może do dziesięciu. Były przeciągłe i głośnie — żalosne i rozdzierające. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Potwierdził zeznania poprzednie, wszelako z jednym zastrzeżeniem. Jest pewien, że głos ostry był głosem mężczyzny — Francuza. Słów wyrzeczonych rozróżnić nie mógł. Były głośnie i prędkie — brzmiały nierówno — jakby rzucane w trwodze i zarazem w gniewie. Głos był szorstki — nie tyle przenikliwy, co szorstki. Nie mógłby go nazwać głosem przenikliwym. Głos chrapliwy powtórzył kilkakrotnie „*sacré*”, „*diable*”, raz powiedział „*mon Dieu*”¹⁹.

Juliusz Mignaud, bankier z firmy Mignaud et Fils, rue Deloraine. Jest starszym z braci Mignaudów. Madame L'Esplanaye posiadała pewien kapitał. Miała w jego banku otwarty rachunek od wiosny roku... (od jakichś lat

¹⁸*sacré, diable* (fr.) — przeklęty, diabeł. [przypis edytorski]

¹⁹*mon Dieu* (fr.) — mój Boże. [przypis edytorski]

ośmiu). Często składała w banku niewielkie sumy, nie wybierała natomiast nic. Dopiero na trzy dni przed swą śmiercią podjęła osobiście 4000 franków. Pieniądze te wypłacono w złocie i polecono woźnemu, aby je odniósł do mieszkania Madame L'Españaye.

Adolf Le Bon, woźny domu bankowego Mignaud et Fils, zeznaje, że w przeddzień zbrodni około południa odprowadzał Madame L'Españaye do jej mieszkania, niosąc 4000 franków w dwu woreczkach. Po otwarciu bramy ukazała się Mademoiselle L'Españaye, która wzięła od niego jeden woreczek; drugi oddał staruszce, uklonił się i odszedł. Nie widział o tej porze na ulicy nikogo. Jest to zaułek bardzo odludny.

William Bird, krawiec, zeznaje, iż należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Jest Anglikiem. Przebywa w Paryżu od dwóch lat. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał, jak się kłóciły owe głosy. Głos chrapliwy brzmiał z francuska. Zdołał dosłyszeć kilka słów, ale nie wszystkie już pamięta. Słyszał wyraźnie „*sacré*” i „*mon Dieu*”. Doleciał go wówczas zgiełk, jak gdyby kilka osób się mocowało — była to niby bójka i szarpanina. Głos przenikliwy był bardzo donośny — donośniejszy niż chrapliwy. Jest pewien, że nie był to głos Anglika; raczej Niemca. Mógł to być głos kobiety. Nie umie po niemiecku.

Czterech z wymienionych świadków na ponowne wezwanie oświadczyło, iż drzwi pokoju, w którym znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Españaye, były zamknięte na klucz od wewnątrz, kiedy ludzie nadbiegli. Panowała tam zupełna cisza — ani szmerów, ani jęków. Po wywaleniu drzwi nie zastano nikogo. Oba okna, zarówno frontowe, jak tylne, były szczelnie zamknięte od wewnątrz. Drzwi prowadzące z pokoju do pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Drzwi, którymi wychodziło się z pokoju frontowego na korytarz, były zamknięte na klucz, który tkwił od wewnątrz. Pokoik frontowy na czwartym piętrze, u wejścia na korytarz, stał otworem; drzwi były uchylone, pełno w nim było starych łóżek, kufrów i tym podobnych przedmiotów. Poodsuwano je i przetrząsnięto uważnie. Przeszukano jak najstaranniej całe po cału wszystkie części domu. Polecono przetrzeć miotłami kominy. Dom był czteropiętrowy i miał pokoje na poddaszu. Drzwiczki prowadzące na dach były przybite mocno gwoździami i prawdopodobnie nie otwierane od lat. Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy usłyszano spierające się głosy, do wyłamania drzwi od pokoju, był różnie podawany przez świadków. Wedle jednych wynosił nie więcej niż trzy minuty, wedle innych przeszło pięć. Drzwi wyważono z niemałą trudnością.

Alfonzo Garcio, przedsiębiorca pogrzebowy, zeznaje, iż mieszka przy rue Morgue. Pochodzi z Hiszpanii. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Na schody nie wchodził. Jest nerwowy i obawiał się następstw podniecenia. Słyszał kłótnię głosów. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Słów rozróżnić nie mógł. Głos przenikliwy brzmiał z angielska — jest tego pewien. Nie zna języka angielskiego, ale sądzi z intonacji.

Alberto Montani, cukiernik, zeznaje, iż jako jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał owe głosy. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Rozróżnił kilka słów. Były to jakby napomnienia. Słów przenikliwego głosu nie dosłyszał. Był on przyśpieszony i nierówny. Sądzi, że był to głos Rosjanina. Zeznania innych świadków na ogół potwierdza. Jest Włochem. Nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem.

Kilku świadków, zapytywanych ponownie, zeznaje, iż we wszystkich pokojach czwartego piętra kominy były za wąskie, by mogły przepuścić istotę ludzką. Miotły, o których mówili poprzednio, były to walcowate szczotki używane przez kominiarzy. Szczotki te przeciągano przez wszystkie dymniki. Nie ma tylnego wyjścia, którym by mógł ktoś uciec, gdy ludzie wbiegali na schody. Zwłoki Mademoiselle L'Españaye były tak mocno wtłoczone w komin, iż zdołało je wyciągnąć dopiero kilka osób.

Paweł Dumas, lekarz, zeznaje, iż wezwano go do obejrzenia ciał nad raniem. Oba trupy leżały na łóżku w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L'Españaye. Ciało dziewczyny znaczyły liczne otarcia i zmiżdżenia. Tłumaczą się one dostatecznie wtłoczeniem zwłok w komin. Skóra na szyi była zdarta. Tuż pod brodą widniało kilka głębokich zadraśnień oraz szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców. Twarz była straszliwie bezbarwna; gałki oczne wysadzone na wierzch. Język był częściowo przecięty. W okolicy dołka podsercowego zaznaczał się ogromny siniac, wywołany prawdopodobnie uciskiem kolana. Wedle mniemania Monsieur²⁰ Dumasa Mademoiselle L'Españaye została uduszona przez jedną lub kilka nieznaną osób. Ciało matki uległo potwornemu zniekształceniu. Wszystkie kości prawej nogi i ramienia były mniej lub więcej pogruchotane. Lewa goleń zmiżdżona, tak samo wszystkie żebra lewej strony. Całe ciało okropnie pokaleczone i odbarwione. Niepodobna powiedzieć, w jaki sposób dokonano tych uszkodzeń. Ciężka pałka drewniana, wielki drąg żelazny, stółek, jakaś duża, ciężka i tępa broń — mogłyby wywołać takie następstwa, gdyby dostały się w ręce nadzwyczaj silnego mężczyzny. Kobieta nie zdołałaby zadać takich ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, gdy ją świadek zobaczył, była zupełnie oddzielona od tułowia i również pogruchotana. Gardziel była przecięta jakimś ostrym narzędziem — prawdopodobnie brzytwą.

Aleksander Etienne, chirurg, wezwany wraz z Monsieur Dumasem do obejrzenia zwłok. Przyłącza się do zeznania Monsieur Dumasa.

Ponadto nie dowiedziano się niczego ważniejszego, aczkolwiek przesłuchiwano jeszcze kilka innych osób. Równie tajemnicze i równie zawile w szczegółach zabójstwo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas w Paryżu — jeżeli w ogóle może być mowa o zabójstwie. Policja zupełnie straciła głowę — niezwykle wypadek w sprawach podobnego rodzaju. Co prawda, nie ma ani cienia jakichkolwiek poszlak.

Wieczorne wydanie dziennika donosiło, iż w dzielnicy Saint-Roch panuje w dalszym ciągu ogromne wzburzenie, że miejsce zbrodni poddano ponownemu starannemu badaniu, że zarządzone powtórne przesłuchanie świadków, lecz nadaremnie. Dopisek nadmieniał, iż aresztowano i uwięziono Adolfa Le Bon, aczkolwiek poza przytoczonymi już szczegółami nic nie przemawiało przeciw niemu.

Dupin zdawał się z niezmiernym zajęciem śledzić przebieg tej sprawy — tak przynajmniej sądziłem z jego zachowania, gdyż nie wspomniał o niej ani słowem. Dopiero po przeczytaniu wiadomości, że Le Bona uwięziono, zapytał mnie, co myślę o tej zbrodni.

Mogłem tylko podzielić zdanie całego Paryża, że jest to niedocieczona tajemnica. Nie pojmowałem zgola, w jaki sposób można by wytropić zabójcę.

— Nie należy wnioskować o sposobach — rzekł Dupin — z tego powierzchownego śledztwa. Policja paryska, którą tak bardzo wychwala się za jej przenikliwość, jest przebiegła, nic więcej. Kieruje się w swym postępowaniu tylko metodą dyktowaną przez okoliczności. Lubi popisywać się rozległością swych zarządzeń, ale niejednokrotnie są one tak niewłaściwie zastosowane do sprawy, o którą chodzi, iż przypomina się wyrażenie Monsieur Jourdaina²¹, który domagał się swej *robe de chambre*²² — *pour mieux entendre la musique*²³. Wyniki przez nią osiągnięte bywają nieraz zdumiewające, lecz przeważnie są owocem zwyczajnej pracowitości i aktywności. Gdzie te zalety nie wystarczają, system zawodzi. Vidocq²⁴ na przykład miał zmysł śledczy i dużą wytrwałość. Ale niewycwiczony w myśleniu, popełniał nieustannie błędy, wynikające właśnie z usilności jego śledczych

²⁰*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

²¹*pan Jourdain* — główny bohater komedii Moliera *Mieszczanin szlachcicem*; tu mowa o scenie 2 aktu I. [przypis edytorski]

²²*robe de chambre* (fr.) — szlafrok; podomka. [przypis edytorski]

²³*pour mieux entendre la musique* (fr.) — żeby lepiej słyszeć muzykę. [przypis edytorski]

²⁴*Vidocq, Eugène-François* (1775–1857) — francuski przestępca, który w 1810 zaferował policji swoją współpracę w walce z paryską przestępczością, stworzył policję kryminalną (*Sûreté Nationale*) i został jej pierwszym kierownikiem; uważany za pierwszego wielkiego detektywa. [przypis edytorski]

poszukiwań. Umniejszał swą zdolność widzenia, patrząc na przedmioty z nazbyt bliskiej odległości. Był widocznie zdolny dostrzec jeden lub dwa szczegóły z niepospolitą bystrością, lecz skupiając uwagę na nich, tracił oczywiście z oczu rzecz w całości. Tak to bywa, gdy ktoś chce być zbyt głęboki. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. Toteż mniemam, iż poszlaki większej wagi leżą zawsze na wierzchu. Prawdy szuka się w dolinach, ale znajduje się ją na wysokościach gór. Przy badaniu ciał niebieskich objawiają się typowe źródła i właściwości błędów tego rodzaju. Spoglądając na gwiazdę przelotnie — patrząc na nią ukośnie, mianowicie w ten sposób, iż zwraca się ku niej boczną cząstkę siatkówki (znacznie wrażliwszą na słabe oddziaływanie światła niżeli jej ośrodek), dostrzega się ową gwiazdę dokładnie — ocenia się najwłaściwiej jej świetlistość, która słabnie w miarę, jak zwracamy ku niej spojrzenie na wprost. Wprawdzie w drugim wypadku pada na oko więcej promieni, ale za to w pierwszym istnieje subtelniejsza pobudliwość na wrażenia wzrokowe. Nadmierne pogłębienie osłabia i mąci jasność myśli. Jakoż byłoby rzeczą możliwą, że nawet Wenus²⁵ znikłaby nam z roztoczy niebieskiej, gdybyśmy jęli śledzić ją z usilnością zbyt skupioną, zbyt wyteżoną, zbyt bezpośrednią.

Zastanówmy się nieco nad owymi zabójstwami, zanim ustalimy nasze poglądy. Śledztwo będzie dla nas rozrywką (w zestawieniu z tragizmem zdarzenia określenie to wydało mi się dziwaczne, ale nie rzekłem ani słowa), przy tym Le Bon wyświadczył mi raz pewną przysługę, za którą chciałbym się mu wywdziżyć. Pójdziemy przyjrzeć się domostwu własnymi oczyma. Znam G., prefekta policji, i sądzę, że otrzymamy bez trudu potrzebne pozwolenie.

Pozwolenia nam udzielono i udaliśmy się niezwłocznie na rue Morgue. Jest to jedna z owych nędznych przecznic łączących rue Richelieu z rue Saint-Roch. Było już pod wieczór, gdyśmy tam przybyli, jako że owa dzielnica znajduje się w znacznej odległości od naszej. Dom odszukaliśmy z łatwością, gdyż po przeciwnej stronie ulicy wciąż jeszcze gromadziło się mnóstwo przechodniów, gapiących się na zamknięte okiennice z bezmyślną ciekawością. Była to zwyczajna kamienica paryska z bramą wjazdową, obok której znajdowała się oszklona nisza, a w niej ruchome okienko, świadczące, że mieściła się tu *loge du concierge*²⁶. Zanim weszliśmy do bramy, pochodziliśmy czas jakiś po ulicy i bocznym zaułkiem okrążyliśmy dom dokoła. Dupin przyglądał się mu i całemu otoczeniu z wyteżoną uwagą, ja natomiast nie dostrzegałem niczego ciekawego.

Następnie zawróciliśmy, podeszliśmy ku domostwu od strony frontowej, zadzwoniliśmy i pokazaliśmy nasze upoważnienia agentom, którzy nas wpuścili do wnętrza. Po schodach weszliśmy do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Españaye i gdzie leżały jeszcze obie zmarłe. Nieładu panującego w pokoju nie tknięto, jak to zazwyczaj czyni się w podobnych wypadkach. Nie zauważyłem niczego więcej ponad to, o czym już czytałem w „Gazette des Tribunaux”. Dupin badał wszystko — nie wyłączając zwłok ofiar. Obejrzelśmy z kolei inne pokoje, a potem zeszlśmy na podwórze. Żandarm nie odstępował nas ani na krok. Śledztwo trwało do zmierzchu, po czym powróciliśmy do naszego mieszkania. Po drodze mój towarzysz wstąpił do biura jednego z pism codziennych.

Wspomniałem już, że mój przyjaciel miał mnóstwo dziwactw. *Je les ménageais*²⁷ (wyrażam się po francusku, gdyż na to określenie nie mogę znaleźć odpowiednika). Strzeliło mu coś do głowy i nie chciał rozmawiać ze mną o owych zabójstwach aż do godziny dziewiątej następnego wieczora. Wówczas zagadnął mnie niespodzianie, czy nie zauważyłem niczego osobliwego na miejscu zbrodni.

Słowo „osobliwego” wymówił tak dziwnie, iż drgnąłem, sam nie wiedząc dlaczego.

— Nie, nic osobliwego — odparłem — przynajmniej nic innego niż to, o czym obaj czytaliśmy w dzienniku.

— Lękam się — rzekł na to — iż „Gazette” nie wniknęła należycie w niewysłowioną groźbę tego zdarzenia. Lecz dajmy pokój gazeciarskiej czczej gadaninie. Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania — a mianowicie z powodu niesłychaności swych objawów. Policję stropił oczywisty brak motywów nie samego zabójstwa, lecz okrucieństwa

²⁵ Wenus — druga pod względem odległości od Słońca planeta Układu Słonecznego, stanowiąca najjaśniejszy po Słońcu i Księżycu obiekt widoczny na niebie. [przypis edytorski]

²⁶ *loge du concierge* (fr.) — stróżówka. [przypis edytorski]

²⁷ *Je les ménageais* (fr.) — oszczędzałem je, traktowałem z wyrozumiałością. [przypis edytorski]

tegoż zabójstwa. Wprawili ją również w zakłopotanie pozorna niemożliwość pogodzenia kłótni owych głosów z tą okolicznością, iż na górze nie znaleziono nikogo prócz niezwywej Mademoiselle L'Espanaye oraz że niepodobna było umknąć stamtąd bez wiedzy osób wbiegających na schody. Dziki nieład w pokoju; zwłoki wtłoczone głową w dół w komin; straszliwie pokaleczone ciało staruszki — te okoliczności, skojarzone z już przytoczonymi, jako też z tymi, o których mówić nie potrzebuję, wystarczyły, by ubezwładnić władze i zmylić najzupełniej sławioną przenikliwość agentów państwowych. Popelnili oni grubą, lecz pospolitą pomyłkę pomieszania niezwykłości z niedocieczonością. Wszelako właśnie dzięki tym odstępstwom od powszedniego porządku rzeczy rozum może wysledzić drogę — o ile ona w ogóle istnieje — która wiedzie do prawdy. Prowadząc śledztwo takie jak obecne, nie tyle należy zwracać uwagę na to, „co się stało”, ile na to, „czego dotychczas nigdy jeszcze nie było”. Jakoż łatwość, z jaką przeniknę lub już przeniknąłem tę tajemnicę, pozostaje w prostym stosunku do oczywistej niemożności jej rozwikłania w mniemaniu policji.

Patrzyłem na mówiącego z niemyim osłupieniem.

— Oczekuję obecnie — mówił dalej, spoglądając ku drzwiom naszego pokoju — oczekuję obecnie osoby, która prawdopodobnie nie była sprawcą tej rzezi, ale w pewnej mierze musiała w niej uczestniczyć. Najcięższe brzemie odpowiedzialności za popełnione zbrodnie zapewne na nią nie spada. Mam nadzieję, że moje przypuszczenia nie zawiodą, gdyż na nich to właśnie oparłem przewidywania, iż uda mi się rozwiązać całą zagadkę. Oczekuję tego człowieka tutaj — w tym pokoju — lada chwila. Może co prawda nie przyjdzie; istnieje jednakże prawdopodobieństwo, że przyjdzie. O ile by przyszedł, musi tu pozostać. Oto pistolety; a obaj wiemy, jak się z nimi obchodzić w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety, ledwie wiedząc, co czynię, i nie dowierając niemal własnym uszom. Tymczasem Dupin mówił dalej, jak gdyby sam do siebie. Napomknąłem już o jego roztargnieniu w podobnych chwilach. Zwracał swe słowa do mnie, ale głos jego, acz bynajmniej nie donośny, miał tę intonację, jakiej używa się zazwyczaj, mówiąc do kogoś na znaczną odległość. Oczy jego straciły wyraz i patrzyły tylko na ścianę.

— Iż spierające się głosy, które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami owych kobiet, to w zupełności wykazało dochodzenie. Nie może być zatem mowy o pytaniu, czy przypadkiem staruszka nie zabiła najpierw córki, a potem nie popełniła samobójstwa. Poruszam tę wątpliwość jedynie ze względu na metodę, gdyż siły Madame L'Espanaye nie mogłyby żadną miarą podolać tak silnemu wtłoczeniu trupa córki w otwór komina; ponadto rodzaj ran na jej własnym ciele nie dopuszcza zupełnie myśli o samobójstwie. Zabójstwo to popełniły zatem jakieś istoty trzecie i właśnie kłótnia tych trzecich była słyszana przez ludzi na schodach. Niechaj mi będzie wolno zwrócić teraz twoją uwagę nie na całość zeznań dotyczących owych głosów, lecz na pewną osobliwość tych zeznań. Czy nie zauważyłeś w nich niczego osobliwego?

Odpowiedziałem, że o ile wszyscy świadkowie przypuszczali zgodnie, iż głos chrapliwy był głosem Francuza, o tyle różnili się wielce co do głosu przenikliwego, który jeden z nich nazwał szorstkim.

— To było oczywiste — rzekł Dupin — ale nie na tym polegała osobliwość tej oczywistości. Nie zauważyłeś rzeczy najznamienniejszej; a jednak można ją zauważyć. Świadkowie, jak powiedziałeś, nie różnili się co do głosu chrapliwego; zeznawali zgodnie. Natomiast o ile chodzi o głos przenikliwy, istnieje pewna osobliwość; polega ona nie na rozbieżności zeznań, lecz na tym, iż Włoch, Anglik, Hiszpan, Holender i Francuz, kiedy chcieli go określić, wszyscy wyrażali się o nim jako o głosie cudzoziemca. Każdy z nich jest pewien, że nie był to głos ziomka. Każdy porównuje go nie z głosem przedstawiciela obcego narodu, którego język jest mu znany, lecz wręcz przeciwnie. Francuz przypuszcza, że był to głos Hiszpana i „mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby umiał po hiszpańsku”. Holender utrzymuje, że był to głos Francuza, wszelako stwierdzono, że świadek ten nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Anglikowi się zdaje, że był to głos Niemca, ale nie zna języka niemieckiego. Hiszpan „jest pewien”, że „brzmiał z angielska”, lecz „sądzi z intonacji”, gdyż nie zna języka angielskiego. Włoch mniema, że był to głos Rosjanina, lecz nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem. Drugi Francuz różni się od pierwszego i wie na pewno, że był to głos Włocha, wszelako

nie znając języka włoskiego, „odnosi wrażenie” — podobnie jak Hiszpan — „z intonacji”. Otóż jak dziwnie niezwykle musiał być ten głos, skoro takie o nim zebrano zeznania — skoro w jego tonach mieszkańcy pięciu wielkich połaci Europy nie mogli dosłyszeć niczego swojskiego! Mógłbyś odpowiedzieć, że może był to głos Azjaty lub Afrykani- na. Azjatów i Afrykanów nie ma zbyt wielu w Paryżu; atoli nie przecząc tej możliwości, chciałbym zwrócić twą uwagę na trzy punkty. Jeden ze świadków określa ten głos jako „raczej szorstki niż przenikliwy”. Dwu innych wyraża się o nim, że był „przypieszony i nierówny”. Żaden z nich nie mógł rozróżnić ani słów, ani dźwięków, które by były do słów podobne.

— Nie wiem — ciągnął dalej Dupin — co myślisz o mych dotychczasowych wywo- dach, lecz mimo to nie waham się twierdzić, że uzasadnione wnioski bodaj z tej części zeznań — mianowicie części dotyczącej głosu chrapliwego i przenikliwego — już wy- starczają, by powziąć podejrzenie, które winno by stać się myślą przewodnią dalszych do- chodzeń w tej tajemniczej sprawie. Powiedziałem: wnioski uzasadnione, ale zwrot ten nie odpowiada w zupełności mojemu mniemaniu. Chciałem zaznaczyć, iż tylko te wnioski są słuszne i że to podejrzenie jest ich nieodzownym następstwem jako jedyny ich wynik. Nie powiem ci jednak od razu, na czym podejrzenie owo polega. Chciałbym tylko przekonać cię, że to podejrzenie było najzupełniej wystarczające, by nadać moim poszukiwaniom na miejscu zbrodni niejaką dążność — określoną celowość.

Przenieśmy się teraz myślą do owego pokoju. Czegóż będziemy tam szukali? W jaki sposób zdołali ująć zabójcy. Byłoby chyba rzeczą zbyteczną nadmieniać, że obaj nie wie- rzymy w zdarzenia nadnaturalne. Madame i Mademoiselle L’Espanaye nie zginęły z ręki duchów. Sprawcy czynu byli materialni i umknęli najzupełniej materialnie. Lecz jak? Na szczęście w tej sprawie można rozumować tylko w jeden sposób i musi nas on do- prowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zbadajmy kolejno wszystkie możliwe sposoby ucieczki. To pewne, iż zabójcy byli w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L’Espanaye, lub może w pokoju sąsiednim, gdy tłum wbiegał na schody. Tylko w tych dwu poko- jach należy zatem szukać wyjścia. Policja pozrywała posadzki, poobijała wszędzie z tynku sklepienia i ściany. Żadne tajne wyjście nie mogło ujść jej uwagi. Nie dowierając wszak- że cudzym oczom, przyglądałem się wszystkiemu własnymi. Otóż nie ma tam ukrytego wyjścia. Dwoje drzwi prowadzących z pokoiów na korytarz było mocno zamkniętych na klucz od wewnątrz. Przyjrzyjmy się kominom. Mają one zwykłą szerokość do wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu stóp ponad paleniskiem i nie zdołały się przez nie przecisnąć nawet duży kot. Ujść jedną z dróg przed chwilą wymienionych jest rzeczą bezwarunko- wo niemożliwą; pozostają więc tylko okna. Frontowymi nie mógł nikt umknąć, gdyż dostrzegłby go tłum zgromadzony na ulicy. Zabójcy uciekli zatem przez okna pokoju tylnego. Otóż doszedłszy w tak niezawodny sposób do tego wniosku, nie możemy po- minąć go, jako zwolennicy ścisłego rozumowania, ze względu na pozorne niemożliwości. Pozostaje nam tylko dowieść, że te pozorne „niemożliwości” bynajmniej nimi nie są.

W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich nie jest zastawione meblami i jest cał- kiem widoczne. Dolną część drugiego zasłania ścielnie do niego przysunięte wielkie wezgielnie łóżka. Jak się okazało, pierwsze było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się wszystkim wysiłkom osób, które chciały je podnieść. W lewej jego ramie zauważono wielki otwór wywiercony świdrem, a w nim duży gwóźdź, wbity niemal aż po łepkę. Przy oglądaniu drugiego okna dostrzeżono także gwóźdź wbity w podobny sposób; mi- mo wyżęcenia wszystkich sił nie udało się go również podnieść w górę. Policja była zatem najzupełniej przekonana, iż ucieczka nie nastąpiła w tym kierunku. I dlatego wydało się rzeczą zbyteczną wyjąć gwóźdź i otworzyć okna.

Moje badania były nieco szczegółowsze, a to z powodów dopiero co przytoczonych — mianowicie wiedziałem, iż chodzi o to, aby wykazać, że wszystkie pozorne niemożliwości bynajmniej niemożliwymi nie są.

Rozumowałem przeto dalej *a posteriori*²⁸. Zabójcy uszli przez jedno z tych okien. Uczyniwszy to, nie mogli z powrotem przytwierdzić ram od wewnątrz, jak je zastali przy- twierdzone. Było to tak oczywiste, że położyło kres dalszym badaniom policyjnym w tym zakresie. A jednak ramy były przytwierdzone. Musiały zatem zamykać się same. Wniosku

²⁸*a posteriori* (łac.) — z następstwa, na podstawie faktów; tu: od skutku do przyczyny. [przypis edytorski]

tego uniknąć nie było podobna. Podeszedłem do niezastawionego okna, z niejaką trudnością wyciągnąłem gwóźdź i próbowałem podnieść je w górę. Oparło się wszystkim moim wysiłkom, jak zresztą przewidywałem. Pojąłem tedy, iż musi istnieć ukryta sprężyna; to potwierdzenie mojej zasadniczej myśli przekonało mnie co najmniej o słuszności moich założeń, aczkolwiek wciąż jeszcze niejasna była sprawa gwoździ. Staranne poszukiwania doprowadziły rychło do wykrycia tajnej sprężyny. Nacisnąłem ją i zadowolony się odkryciem, nie uważałem już za potrzebne podnosić okna.

Włożyłem następnie gwóźdź z powrotem na jego miejsce i przyglądałem się mu uważnie. Osoba, wychodząca przez okno mogła je zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale gwóźdź nie można było umieścić z powrotem. Wniosek był ścisły i znów zawęził zakres moich poszukiwań. A więc zabójcy musieli ujść przez drugie okno. Wychodząc z założenia, iż sprężyny u obu okien były takie same, trzeba było przyjąć, iż zachodziła różnica między gwoździami lub przynajmniej między sposobami ich wbicia. Stanąwszy na łóżku, uważnie przyglądałem się sponad wezgłowia ramie okiennej. Przesunąwszy następnie rękę poza skraj łóżka, z łatwością odszukałem i nacisnąłem sprężynę, która — jak przypuszczałem — nie różniła się niczym od sąsiedniej. Przyjrzałem się potem gwoździowi. Był tak samo duży jak poprzedni i wbity na pozór w ten sam sposób, niemal aż po sam lepek.

Zapewne wyobrazasz sobie, iż byłem zakłopotany; jeżeli jednak sądzisz w ten sposób, to chyba nie zdajesz sobie sprawy z natury moich wnioskowań. Mówiąc gwarą myśliwską, „nie zmyliłem tropu ani razu”. Węch nie zawiódł mnie ani na chwilę. Nie było skazy na żadnym ogniwie łańcucha. Prześledziłem tajemnicę aż do jej krańcowego punktu, a tym punktem był ów gwóźdź. Jak już wspomniałem, nie różnił się on niczym w wyglądzie od gwóźdź z drugiego okna. Wszelako nie miało to żadnego znaczenia (jakkolwiek wydawało się zakończeniem wszystkiego) w porównaniu z przeświadczeniem, że punkt ten był kresem ostatecznym. „Coś tu musi być nie w porządku — powiedziałem sobie — z tym gwoździem”. Dotknąłem go i główka wraz z calowym odłamkiem została mi w palcach. Reszta ułamanego gwóźdź pozostała w wywierconym otworze. Złamanie musiało nastąpić już dawno (gdyż brzegi pokrywała rdza) i pochodziło zapewne od uderzenia młota, które zagłębiło częściowo lepek w brzegu ramy. Włożyłem znowu odłamek gwóźdź, zakończony główką, starannie w zagłębienie, z którego go wyjąłem, i podobieństwo do gwóźdź całkowitego było zupełne — złamanie nie było widać. Nacisnąwszy sprężynę, podniosłem z lekka ramę na kilka cali w górę; główka gwóźdź uniosła się wraz z nią, lecz ani nie drgnęła w swym łożysku. Zamknąłem okno i podobieństwo do nienaruszonego gwóźdź znów było zupełne.

Udało mi się zatem rozwiązać zagadkę. Zabójca uciekł przez okno przytykające do łóżka. Nie wiadomo, czy po jego ucieczce zatrzasnęło się samo, czy też zatrzasnęła je czyjaś ręka; to pewne, iż sprężyna zaskoczyła na swe miejsce. I to ona przytrzymała okno, a nie gwóźdź, jak mylnie sądziła policja, uważając z tego powodu dalsze dochodzenie za niepotrzebne.

Nasunęło się z kolei zagadnienie, w jaki sposób zabójca spuścił się na dół. Rozwiązałem je, przechadzając się z tobą dokoła domu. Na jakieś pięć i pół stopy²⁹ od owego okna przebiega metalowa lina piorunochronu. Z liny tej niepodobieństwem jest dosięgnąć okna ani też wejść na nie. Zauważyłem jednakże, iż okiennice czwartego piętra są tego szczególniejszego rodzaju, który stolarze paryscy nazywają *ferrades*; okiennice takich rzadko używa się obecnie, ale widuje się je często w prastarych domostwach Lyonu i Bordeaux. Mają one kształt zwyczajnych drzwi (całkowitych, a nie złożonych z podwoi), od których różnią się tylko tym, iż część dolna jest powyrzynana na wylot, podobnie jak kratownica, i dzięki temu stanowi doskonałe oparcie dla rąk. W wypadku, o którym mowa, szerokość okiennicy wynosi przeszło trzy i pół stopy. Gdyśmy patrzyli na nie z dołu, były obie uchylone do połowy, to znaczy tworzyły z murem kąt prosty. Prawdopodobnie urzędnicy policyjni oglądali kamienicę także od tyłu, podobnie jak ja; jednakże patrząc na te *ferrades* od strony ich szerokości (bo nie mogli patrzeć inaczej), nie zwrócili uwagi na rozmiary te same szerokości lub — co na jedno wychodzi — nie wzięli ich należycie pod rozwagę. Przyszędłszy bowiem do przekonania, iż ucieczka z tej strony była niemożliwa,

²⁹stopa — dawna miara długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

zadowolili się oczywiście tylko pobieżnym obejrzeniem. Dla mnie natomiast było rzeczą jasną, iż gdyby okiennicę od okna u węzłowia łóżka odchylić aż do samego muru, to znalazłaby się ona o jakieś dwie stopy od liny piorunochronu. Zdawałem sobie również sprawę, iż istota wyposażona niepoślednią przedsiębiorczością i odwagą mogłaby w ten sposób przedostać się z owej liny na okno. Znalazszy się bowiem w odległości dwóch i pół stopy (o ile przyjmiemy, że okiennica była otwarta w zupełności), złoczyńca mógł się mocno uchwycić kraty. Puściwszy następnie linę, zaparłszy się nogami w ścianę i odepchnąwszy się od niej, mógł silnym szarpnięciem spowodować zamknięcie się okiennicy i wskoczyć do pokoju, jeżeli okno było podówczas otwarte.

Pragnąłbym, byś przede wszystkim zapisał sobie głęboko w pamięci to, co powiedziałem o arcyniepospolitym stopniu energii, jaka była potrzebna do pomyślnego wykonania tak trudnego i karkołomnego przedsięwzięcia. Zamierzam najpierw dowieść ci, iż było ono możliwe, następnie zaś — i o to głównie mi chodzi — zwrócić twoją uwagę na niesłychany i niemal nadnaturalny charakter zręczności, która zdołała się go podjąć.

Powiesz zapewne, posługując się wyrażeniem prawniczym, iż chcąc „rozdać sprawę”, powinien bym raczej umniejszać znaczenie energii okazanej w tym wypadku, niż dokładać starań, aby wyszła na jaw w całej pełni. Być może, iż tak bywa w sądach, ale inne są wymagania rozumu. Moim ostatecznym celem jest czysta prawda. Bezpośrednim zaś moim zamierzeniem jest skłonić cię do zestawienia tej nader niezwyklej energii, o której przed chwilą wspomniałem, z owym arcyprzenikliwym (czy szorstkim) i nierównym głosem, którego narodowości nie zdołały oznaczyć zgodnie bodaj dwie osoby i w którego brzmieniu nikt nie mógł dosłyszeć podziału na zgłoski.

Pod wpływem tych słów mglista i jeszcze nieukształtowana świadomość poglądu Dupina zaświtała mi w mózgu. Zdawało mi się, że jestem na pograniczu zrozumienia, wszakże zrozumieć nie mogłem, podobnie jak to bywa czasem z ludźmi, którzy wahają się już na skraju przypomnienia, a jednak w zupełności przypomnieć sobie nie są zdolni. Tymczasem mój przyjaciel mówił dalej:

— Jak widzisz, zagadnienie, w jaki sposób odbyła się ucieczka, przekształciłem w zagadnienie, jak nastąpiło wtargnięcie. Zamierzeniem moim było wykazać, iż zarówno wejście, jak wyjście dokonano się w ten sam sposób i w tym samym miejscu. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Rozejrzyjmy się w jego wyglądzie. Szuflady komody rzekomo uległy grabieży, chociaż pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów wchodzących w skład kobiecego stroju. Wnioskowanie to jest niedorzeczne. To tylko przypuszczenie — niemądre przypuszczenie — nic więcej. Skądże wiadomo, iż przedmioty znalezione w szufladach nie stanowiły całej ich pierwotnej zawartości? Madame L’Espanaye i jej córka żyły samotnie — nie bywały w towarzystwach — rzadko wychodziły z domu — nie miały potrzeby zmieniać często swych strojów. Te, które znaleziono, nie ustępowały bynajmniej jakością innej odzieży stanowiącej własność tych pań. Jeżeli złoczyńca zabrał cokolwiek, to czemuż nie wziął rzeczy najcenniejszych — czemu nie zabrał wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, a obarczył się pękiem bielizny? Złoto pozostało. Niemal całą sumę, o której wspomniał bankier Mignaud, znaleziono w workach na posadzce. Pragnąłbym przeto wyplenić z twych myśli bałamutną ideę zysku, wylęglą w mózgach policji pod wpływem zeznań o pieniądzach doręczonych u bramy kamienicy. Zbieżności dziesięciokrotnie ważniejsze od przytoczonej (doręczenie pieniędzy i zbrodnia popełniona po upływie trzech dni na osobie, która je odebrała) zdarzają się co godzina w naszym życiu, a jednak nawet przelotnie nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Zresztą zbieżności są w ogóle wielkimi kamieniami obrazy, zawałającymi drogę tej kategorii myślicieli, którzy nie mają pojęcia o teorii możliwości — a jej to właśnie najszczytniejsze dziedziny badań ludzkich zawdzięczają chwałę swych rozwidnień. Gdyby w wypadku, który nas obchodzi, złoto znikło, to okoliczność doręczenia go na trzy dni przedtem byłaby czymś więcej niż zbieżnością. Stanowiłaby potwierdzenie owej idei zysku. Jeżeli wszakże, mając na uwadze rzeczywisty stan rzeczy, przypuścimy, iż powodem tej napaści było złoto, to musimy również przyjąć, że sprawca był do tego stopnia niezdarą i matolkiem, iż wyrzekł się złota oraz motywu, który nim powodował.

Nie zapominając tedy ani przez chwilę, o szczegółach, które ci wyłuszczyłem — a więc o owym osobliwym głosie, o nadzwyczajnej zręczności, jako też o tym, iż ta wyjątkowo potworna zbrodnia wykazuje zastanawiający brak motywów — pozwól, iż przyjrzymy się

z kolei samej rzezi. Oto czyjeś ręce zadławiły na śmierć kobietę i wtłoczyły ją w komin, głową na dół. Zbrodniarze zwyczajni nie posługują się podobnymi sposobami zabójstwa. Przede wszystkim zaś nie obchodzą się tak dziwnie ze zwłokami swych ofiar. Ze sposobu, w jaki wtłoczono trupa w przewód komina, wywnioskujesz przecież, iż zaszło coś bezgranicznie dziwaczego — coś bezwarunkowo niedającego się pogodzić z właściwym nam pojmowaniem czynności ludzkich, nawet w takim razie, jeżeli przypuścimy, iż sprawcy byli najostatniejszymi wyrzutkami ludzkości. Zastanów się ponadto, jak olbrzymia musiała być siła, która zdołała wtłoczyć zwłoki w przewód z taką mocą, iż połączone wysiłki kilku osób ledwie zdołały je wydobyć z powrotem!

Zwróćmy następnie uwagę na inne oznaki tej nieuskromionej siły. Na palenisku znajdowały się grube pasma — bardzo grube pasma — siwych ludzkich włosów. Wyrwano je wraz z korzonkami. Wiesz dobrze, jak znacznej siły potrzeba, by wyrwać naraz z głowy chociażby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów. Widziałeś te kłaki tak samo jak ja. U nasady (co za ohydny widok!) były pozlepiane krwawymi strzępami skóry — niezawodna oznaka zdumiewającej mocy, jakiej użyto, by wyrwać wraz z korzonkami za jednym zamachem jakieś pół miliona włosów. Gardziel staruszki była w ten sposób przecięta, iż głowa po prostu odpadła od tułowia — a narzędziem była zwykła brzytwa. Pragnąłbym, byś uprzytomnił sobie zwierzęcą dzikość tych czynów. Obrażenia na ciele Madame L'Esplanaye pominię. Monsieur Dumas i jego szanowny asystent, Monsieur Etienne, orzekli, iż zadano je jakimś tępym narzędziem, i mieli najzupełniejszą słuszność. Owym tępym narzędziem był kamienny bruk podwórka, na które spadła ofiara z okna przytykającego do łóżka. Pomysł ten, choć na pozór najzupełniej zwyczajny, nie powstał w mózgach policji z tego samego powodu, dla którego uszła ich uwadze szerokość okiennic: tak szczerze zagwoździły ich zdolność pojmowania owe gwoździe, iż nie przypuszczali, by okna w ogóle mogły być otwierane.

Jeżeli na domiar wzięłeś należycie pod rozwagę cudaczny nieład w pokoju, to będziemy mieli wszystkie dane, by skojarzyć pojęcia przedziwnej zręczności, nadludzkiej siły, zwierzęcej dzikości, bezcelowej zbrodni, cudactwa, którego groteskowa groza nie ma nic wspólnego z człowieczeństwem, a także głosu, którego ton brzmiał obco w uszach ludzi wielu narodowości i był najzupełniej pozbawiony wyraźnego i zrozumiałego podziału na zgłoski. Do jakiego zatem dochodzisz wniosku? Jakie wrażenie wywarłem na twej wyobraźni?

Dreszcz jakiś przebiegł moje ciało, gdy Dupin postawił mi to pytanie.

— Szaleniec — rzekłem — dopuścił się tego czynu; jakiś obłąkany maniak, który zbiegł z pobliskiego domu wariatów.

— Są okoliczności — odparł — które przemawiają za twoim zdaniem. Wszelako głosy szaleńców, nawet w chwilach najdzikszego ich rozpętania, nie dadzą się żadną miarą pogodzić z tym szczególnym głosem zasłyszonym na schodach. Każdy wariat należy do jakiegoś narodu, a język jego, acz bezładny w słowach, wykazuje zawsze ład w zgłoskowaniu. Ponadto włosy szaleńców różnią się od tych, które w tej chwili trzymam w dłoni. Wyskubałem oto ten mały kosmyk z odrętwiałych i zaciśniętych palców Madame L'Esplanaye. Powiedz mi, co sądzisz o nich?

— Dupin! — rzekłem, wstrząśnięty do głębi. — To jakieś dziwne włosy — to nie są ludzkie włosy!

— Bynajmniej tego nie utrzymywałem — odezwał się — zanim jednak coś o nich postanowimy, chciałbym, byś rzucił okiem na rysunek skreślony przeze mnie na tym oto papierze. Jest to rysunkowa podobizna tego, co jedni świadkowie określili jako „ciemne sińce i głębokie ślady paznokci” na gardzieli Mademoiselle L'Esplanaye, inni zaś (mianowicie Messieurs³⁰ Dumas i Etienne) jako „szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców”.

— Jak widzisz — mówił dalej mój przyjaciel, rozpościerając papier na stole — rysunek ten daje wyobrażenie krępekiego i pewnego chwytu. Jakichkolwiek ześliznięć nie widać. Każdy palec wytrwał — prawdopodobnie aż do zgonu ofiary — w strasliwym ucisku, z jakim pierwotnie się zagłębił. Spróbujże teraz umieścić od razu swe palce w odpowiednich śladach, które tu masz zaznaczone.

³⁰messieurs (fr.) — panowie. [przypis edytorski]

Spróbowałem, ale nadaremnie.

— Być może, iż zabieramy się do rzeczy w niewłaściwy sposób — powiedział. — Papier leży na płaskiej powierzchni, a gardziel ludzka jest walcowata. Oto drewniany walec, który ma ten obwód, co szyja ludzka. Owiń dokoła niego rysunek i spróbuj raz jeszcze.

Postąpiłem wedle jego wskazówek, lecz trudność jeszcze się wzmogła.

— Nie, to nie są ślady ręki ludzkiej — rzekłem.

— Przeczytajże teraz — odparł Dupin — ten ustęp z Cuviera³¹.

Był to drobiazgowy opis anatomiczny wielkiego orangutana z Archipelagu Wschodnioindyjskiego. Olbrzymia postawa, niesłychana zręczność i siła, niepohamowana dzikość i skłonności naśladownicze tego ssaka są wszystkim dostatecznie znane. Pojąłem od razu całą potworność zabójstwa.

— Opis palców — powiedziałem, skończywszy czytać — wykazuje najzupełniejszą zgodność z tym rysunkiem. Przekonuję się, że żadne inne zwierzę prócz orangutana z wymienionego tu gatunku nie mogło pozostawić śladów uwidocznionych na twoim rysunku. Także ten kosmyk brunatnej sierści odpowiada najzupełniej potworowi z opisu Cuviera. Wszelako żadną miarą nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów tej przerażającej tajemnicy. Przy tym słyszano sprzeczkę dwu głosów, z których jeden był na pewno głosem Francuza.

— To prawda; i przypominasz sobie zapewne wykrzyknik, przypisywany przez świadków niemal jednomyślnie owemu głosowi; miał on brzmieć: „*mon Dieu!*” Słowa te ze względu na towarzyszące okoliczności słusznie określił jeden ze świadków (cukiernik Montani) jako wyraz wyrzutu czy upomnienia. Na nich to polegała przede wszystkim moja nadzieja zupełnego rozwiązania zagadki. Jakiś Francuz wiedział o tym zabójstwie. Jest rzeczą możliwą — a nawet więcej niż prawdopodobną, iż jest najzupełniej niewinien współudziału w krwawym dziele. Być może, iż orangutan mu uciekł. Być również może, iż podążył jego śladem, lecz we wstrząsających okolicznościach, jakie tam nastąpiły, nie zdołał pojmać go z powrotem. Zwierzę jest jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych przypuszczeń, gdyż nie mam prawa odwoływać się do nich — jako że mgławice rozumowań, które służą im za podstawę, sięgają zaledwie tak głęboko, iż mogą być ocenione tylko przez mój własny rozum; nie mogę zatem dążyć do uprzystępnienia ich cudzemu zrozumieniu. Nazywajmy je tedy tylko przypuszczeniami i nie uważajmy ich za nic innego. Jeżeli ów Francuz, jak miemam, istotnie jest niewinien tego okrucieństwa, to ogłoszenie, które wczoraj wieczorem, gdyśmy wracali do domu, oddałem do zamieszczenia w redakcji „*Le Monde*” (dziennik poświęcony sprawom żeglarskim i czytany powszechnie przez marynarzy), powinno go sprowadzić w nasze progi.

Wręczył mi dziennik, w którym przeczytałem:

NADZWYCZAJ DUŻEGO ORANGUTANA z gatunku żyjącego na Borneo, schwytano wczesnym rankiem dnia... (*tu następowała data morderstwa*) w Bois de Boulogne. Właściciel jego (o którym wiadomo, iż jest marynarzem i należy do załogi statku maltańskiego) może go odebrać po dostatecznym stwierdzeniu tożsamości i uiszczeniu niewielkiego wynagrodzenia za schwytanie i żywienie zwierzęcia. Wiadomości zasięgnąć można pod nrem... przy rue..., Faubourg Saint-Germain, trzecie piętro.

— Skądże ty możesz wiedzieć — zagadnąłem — że ów człowiek jest marynarzem i należy do załogi maltańskiego statku?

— Toteż nie wiem tego — odparł Dupin. — Przynajmniej nie jestem pewien. Lecz spójrz, proszę cię, na ten strzęp wstążki, która — jak domyślam się z kształtu i zatłuszczonego wyglądu — służyła zapewne do wiązania włosów w owe długie harcapy³², stanowiące chlubę marynarzy. Ponadto takiego węzła nikt nie zdoła zawiązać prócz marynarzy, w szczególności zaś Maltańczyków. Znalazłem tę wstążkę pod piorunochronem. Nie należała na pewno do ofiar wypadku. Zresztą, jeżeli nawet się mylę, wnioskując z tej wstążki, iż ów Francuz należy do załogi maltańskiego statku, to ogłoszenie moje nie wyrządzi przecież nikomu krzywdy. Gdybym pobłądził, pomyśli sobie po prostu, iż wprowadziła mnie

³¹ *Cuvier, Georges* (1769–1832) — wybitny francuski zoolog i paleontolog. [przypis edytorski]

³² *harcap* — warkocz noszony przez mężczyzn w XVIII w., stanowiący obowiązkowe uczesanie żołnierzy dla ochrony karku przed uderzeniem. [przypis edytorski]

w błąd jakaś okoliczność, i nie zechce trudzić się poszukiwaniem. Jeżeli natomiast mam słuszość, to wygrałem wielką stawkę. Wiedząc o zabójstwie, Francuz, acz niewinny, będzie się wahał, czy usłuchać wezwania — czy domagać się zwrotu orangutana. Będzie rozumował w ten sposób: Jestem niewinny; jestem biedny; mój orangutan ma wielką wartość — dla człowieka w moich warunkach to niemal majątek — czemuż mam go się pozbyć dla urojonych mrzonek niebezpieczeństwa? Jest do odebrania. Znalezione go w Bois de Boulogne — bardzo daleko od widowni krwawego wypadku. Czyż ktoś może przypuszczać, by nierozumne zwierzę było sprawcą tego czynu? Policja jest w błędzie — nie zdołała znaleźć najbliższej poszlaki. Gdyby nawet wytropiono zwierzę, to jeszcze byłoby rzeczą niemożliwą dowieść mi, że wiem o zbrodni, lub poczytać mi za winę, że o niej wiedziałem. To jednak pewne, iż ktoś wie o mnie. Ogłoszenie w dzienniku wyraża się o mnie jako o właścicielu zwierzęcia. Nie jestem pewien, jak daleko te wiadomości sięgają. Jeżeli zaniedbam się upomnieć o tak cenną własność, o której wiadomo, że do mnie należy, to zwierzę może stać się przyczyną podejrzeń. Nie wyszłoby mi na dobre, gdyby zwrócono uwagę czy to na mnie, czy też na małpę. Pójdę za wezwaniem, odbiorę orangutana i będę go trzymał w zamknięciu, aż cała ta sprawa przycichnie.

W tej chwili usłyszeliśmy stąpanie na schodach.

— Miej pistolety w pogotowiu — rzekł Dupin — ale ich nie pokazuj i nie strzelaj, dopóki nie dam znaku.

Brama domu stała otworem, przybysz wszedł przeto, nie dzwoniąc, i jął wstępować na schody. Wnet jednak jakby się zawahał. Po chwili począł schodzić na dół. Dupin szybko podbiegł ku drzwiom, wszelako w tejże samej chwili nieznajomy zmienił kierunek; podążył znowu w górę. Nie zawrócił ponownie, lecz stąpał dalej stanowczym krokiem i zapukał w końcu do drzwi naszego pokoju.

— Proszę! — odezwał się Dupin pogodnym i serdecznym głosem.

Nieznajomy wszedł do pokoju. Był to niewątpliwie marynarz — człowiek rostry, barczysty i muskularny, z miną zadzierzystą, jakby kpił sobie z wszystkich diabłów, niepozabawioną jednak ujmującego wyrazu. Twarz jego, mocno opalona, zatracala się na poły w gęstwinie wąsów i bokobrodów. Dzierżył potężny dębowy kij, lecz nie miał zapewne przy sobie innej broni. Skłonił się niezgrabnie i powitał nas słowami: „dobry wieczór” z francuskim akcentem, skażonym nieco neufchatelem³³ nalotem, lecz świadczącym mimo to dostatecznie o pochodzeniu paryskim.

— Proszę siadać — rzekł Dupin. — Przychodzi pan zapewne po swego orangutana? Niemal go pan zazdroścuję, daję słowo! Nadzwyczaj piękne i niewątpliwie bardzo cenne zwierzę. Jak pan przypuszcza, w jakim może być wieku?

Marynarz odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu ciężki kamień spadł z serca, i odparł pewnym głosem:

— To trudno powiedzieć, lecz nie może mieć więcej niż cztery lub pięć lat. Czy ma go pan tutaj?

— O, nie, nie było tu dla niego pomieszczenia. Trzymam go w wynajętej stajni, tuż obok, przy rue Dubourg. Mogę go oddać panu jutro rano. Czy może pan udowodnić, iż jest pańską własnością?

— To się rozumie.

— Niełatwo mi przyjdzie się z nim rozstać — odezwał się Dupin.

— Nie żądam przecie usług za darmo — rzekł nieznajomy. — Ani mi przez myśl nie przeszło coś podobnego! Zapłacę chętnie wynagrodzenie za schwytanie zwierzęcia — ma się rozumieć, umiarkowane.

— Zgoda! — odparł mój przyjaciel. — To bardzo pięknie z pańskiej strony. Czego by tu zażądać? Zaraz... już wiem. Moje wynagrodzenie będzie polegało na tym, iż dowiem się wszystkiego, co tylko pan wie, o zabójstwie przy rue Morgue.

Ostatnie słowa wyrzekł Dupin bardzo cicho i bardzo spokojnie. Z nie mniejszym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Po czym wyjął pistolet z zanadru i nie śpiesząc się, położył go na stole.

³³neufchatelemski — pochodzący z szwajcarskiego miasta Neuchâtel (dosł.: nowy zamek; ob. Neuchâtel), stolicy kantonu o tej samej nazwie, albo też z noszącego tę nazwę miejsca w pln. Francji. [przypis edytorski]

Marynarzowi krew uderzyła do głowy jak w przystępie duszności. Zerwał się z miejsca i zacisnął kij w pięści, lecz po chwili powalił się znów ciężko na krzesło, drżąc na całym ciele. Z rysów jego wyzierało śmiertelne przerażenie. Nie rzekł ani słowa. Żał mi go było serdecznie.

— Mój przyjacielu — rzekł Dupin dobrotliwie — niepotrzebnie pan się niepokoi, naprawdę niepotrzebnie! Nie chcemy sprawić panu przykrości. Daję słowo uczciwego człowieka i Francuza, że nie wyrządzimy panu krzywdy. Wiem najzupełniej dokładnie, że okrucieństwa przy rue Morgue nie były pańskim dziełem. Nie znaczy to jednak, jakoby pan przeczył, iż w pewnej mierze pan w nich uczestniczył. Z tego, co już powiedziałem, domyślił się pan zapewne, iż mam sposoby, za pomocą których udało mi się zasięgnąć o tej sprawie wiadomości — sposoby, o jakich panu nigdy się nie śniło. Otóż rzecz przedstawia się tak: Nie uczynił pan nic takiego, czego można było uniknąć, i na pewno nie dopuścił się pan niczego, co by czyniło pana winowajcą. Nie popełnił pan nawet kradzieży, jakkolwiek mógł pan kraść bezkarnie. Nie ma pan nic do ukrycia. Nie ma pan powodu do ukrywania. Jest więc najprostszym obowiązkiem honoru wyznać wszystko, co panu wiadomo. Uwięziono niedawno niewinnego człowieka, podejrzewanego o zbrodnię, której sprawcę może pan wskazać.

Podczas przemówienia Dupina marynarz odzyskał w znacznej mierze przytomność umysłu, atoli dawniejsze jego zuchwałstwo znikło zupełnie.

— Bodajby mnie Bóg skarał — rzekł po krótkiej chwili — jeśli nie powiem panu wszystkiego, co wiem o tej sprawie; wszelako nie spodziewam się, żeby mi pan uwierzył, chociażby w połowie; byłbym wariatem, gdybym spodziewał się czegoś podobnego. Atoli jestem niewinny i wyznam wszystko, nawet gdybym miał to przypłacić życiem.

Opowieść jego brzmiała w streszczeniu następująco. Niedawno odbywał podróż po Archipelagu Indyjskim. Gromada marynarzy, do której należał, wylądowała na Borneo i wybrała się na wycieczkę w głąb kraju. Przy pomocy jednego z towarzyszy udało mu się schwytać orangutana. Towarzysz ten zmarł i zwierzę stało się jego wyłączną własnością. Po wielkich przykrościach, spowodowanych podczas podróży powrotnej nieuskromioną dzikością małpy, powiodło mu się w końcu umieścić ją w swym mieszkaniu w Paryżu. By uniknąć nieznośnej ciekawości sąsiadów, trzymał zwierzę w zamknięciu, co miało trwać aż do wygojenia mu się rany w nodze, skaleczonej drzazgą na pokładzie okrętu. Ostatecznie zamierzał je sprzedać.

Powróciwszy z jakiejś żeglarskiej hulanki do domu nocą, a raczej wczesnym rankiem tego dnia, kiedy nastąpiło zabójstwo, zastał małpę w swej sypialni, do której włamała się z przyległej komórki, gdzie — jak mu się dotychczas zdawało — przebywała w bezpiecznym zamknięciu. Z brzytwą w ręce i cała umazana mydłem, siedziała przed lustrem i próbowała się golić, w czym zapewne podpatrzyła poprzednio swego pana przez dziurkę od klucza. Struchlała na widok tego niebezpiecznego narzędzia w rękach tak dzikiego zwierzęcia, które znakomicie umiało się nim posługiwać, marynarz nie wiedział zrazu, co począć. Przyzwyczajony jednakowoż do poskramiania nawet najwścieklejszych wybuchów małpy za pomocą bata, zamierzał posłużyć się nim i tym także razem. Na widok bata orangutan wybiegł przez otwarte drzwi pokoju, stoczył się po schodach i wyskoczył na ulicę przez okno, które na nieszczęście stało otworem.

Zrozpaczony Francuz puścił się w pogoń; małpa, nie wypuszczając brzytwy z ręki, zatrzymywała się co chwila, by spojrzeć poza siebie, i stroiła miny do swego prześladowcy; kiedy zaś już ją dopędzał, uciekała dalej. Pościg ten trwał dość długo. Na ulicach panowała głęboka cisza, gdyż była zaledwie trzecia rano. W wąskiej uliczce przebiegającej tuż obok rue Morgue uciekająca małpa zauważyła światło jarzące się z otwartego okna pokoju, który Madame L'Esplanaye zajmowała na czwartym piętrze swego domu. Podbiegłszy do muru, dostrzegła linę piorunochronu, wspięła się na nią z niepojętą zręcznością, uchwyciła się okiennicy, uchylonej aż do samego muru, i przy jej pomocy wskoczyła na wezglowie łóżka. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Orangutan, wdzierając się do pokoju, kopnięciem nogi znów otworzył na oścież okiennicę.

Tymczasem marynarz zarazem cieszył się i trwożył. Miał bowiem nieplonną nadzieję, iż oto uda się mu odzyskać zwierzę, które wpadło w pułapkę i mogło wydostać się z niej tylko po linie, gdzie było nietrudno przeszkodzić jego ucieczce. Równocześnie ogarniał go niepokój, gdy nasuwało mu się pytanie, co małpa może splotać w tym domu. Myśl

ta kazała mu nie ustawać w pościgu. Wspiąć się na linę od piorunochronu nie jest zbyt trudno, zwłaszcza dla marynarza. Kiedy jednak znalazł się na wysokości okna, które znajdowało się na lewo od niego, musiał się zatrzymać; mógł uczynić zaledwie tyle, iż wyprostowawszy się, zdołał zajrzeć do wnętrza pokoju. Zajrzawszy jednak, omal nie postradał równowagi z przerażenia. Było to wówczas, kiedy wśród ciszy nocnej rozległy się straszliwe krzyki, budząc ze snu struchlałych mieszkańców rue Morgue. Madame L'Españaye i jej córka, obie ubrane do snu, były — jak się zdaje — zajęte porządkowaniem jakichś papierów we wspomnianej już żelaznej szkatułce, wyciągniętej na środek pokoju. Była otwarta, a jej zawartość leżała obok na posadzce. Ofiary siedziały zapewne odwrócone od okna, zaś z czasu, jaki upłynął między wtargnięciem zwierzęcia a krzykami, wynika, że nie dostrzegły go od razu. Stuknięcie okiennicy przypisywały zapewne wiatrowi.

Kiedy marynarz zajrzał do środka, potworne zwierzę ujęło Madame L'Españaye za włosy (które były rozpuszczone, gdyż właśnie się czesała) i jęło wymachiwać brzytwą dokoła jej twarzy, naśladując ruchy golarza. Córka leżała nieruchomo na posadzce; postradała przytomność. Pod wpływem krzyków i szamotania się staruszki (której mała wyrwała przy tym włosy) pokojowe — jak się zdaje — zamiary orangutana zamieniły się we wściekłość. Stanowczym ruchem potężnego ramienia niemal odciął jej głowę od tułowia. Na widok krwi gniew jego rozplamiał się do szału. Zgrzytając zębami i sypiąc skrami z oczu, rzucił się na ciało dziewczyny, wpił straszliwe szpony w jej gardło i zadławił ją na śmierć. Jego błędne, dzikie spojrzenie zwróciło się w tej chwili ku wezłowiowi łóżka, znad którego wyjrzała właśnie twarz jego pana, zakrzepła z przerażenia. Wściekłość potwora, który bez wątplenia nie zapomniał jeszcze okrutnego bata, przedzierzgnęła się natychmiast w trwogę. Wiedząc, iż zasłużył na karę, i jak gdyby pragnąc ukryć swe krwawe czyny, miotał się w przystępie nerwowego podniecenia po pokoju, przewracał i druzgotał co krok meble i wyrzucał materace z łóżka. W końcu porwał najpierw trupa dziewczyny i wtłoczył w komin, gdzie go znaleziono, następnie zaś zwłoki staruszki, które głową na dół niezwłocznie wyrzucił przez okno.

Gdy mała z okaleczonym ciałem podbiegła do okna, struchlały marynarz przyłgnął znów do liny i ślizgając się raczej niż czepiając, opuścił się na ziemię — po czym natychmiast pobiegł do domu i wzdrygając się na myśl o następstwach tej rzezi, wyrzekł się, strwożony, dalszych poszukiwań orangutana. Słowa zasłyszane na schodach były to okrzyki, którymi Francuz wyrażał swą grozę i przerażenie i na które odpowiadały mu szatańskie skowyty potwora.

Niewiele pozostaje mi do nadmienienia. Orangutan uciekł zapewne z pokoju po linie, kiedy przystępowano do wylamania drzwi. Wyskakując z okna, zatrzasnął je widocznie za sobą. Ostatecznie zdołał go pojmać sam właściciel, który sprzedał go drogo do Jardin des Plantes³⁴. Le Bon został wypuszczony natychmiast, gdyśmy w biurze prefekta policji opowiedzieli, co zaszło, a Dupin oświetlił wypadki po swojemu. Prefekt, acz nader życzliwie usposobiony do mojego przyjaciela, nie mógł mimo to całkiem ukryć niezadowolonia z obrotu sprawy i pozwolił sobie na jedną czy dwie złośliwostki o osobach, które wtrącają się do nie swoich rzeczy.

— Niechaj sobie gada — rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne mu odpowiedzieć. — Niechaj się wyskarży! To ulży jego sumieniu. Jestem zadowolony, iż zwyciężyłem go w jego własnej dziedzinie. Nie pojmuję tylko, dlaczego tak bardzo wydziwia, iż nie powiodło się mu rozwiązać tej zagadki, gdyż prawdę mówiąc, nasz przyjaciel prefekt zbyt jest szczwany, aby mógł być głęboki. Jego znajomość rzeczy nie ma kręgosłupa. Jest tylko głową, a nie ciałem, jak wizerunki bogini Lawerna³⁵ — lub co najwyżej głową i ramionami, na podobieństwo dorsza. Lecz mimo wszystko to człowiek wcale przyzwoity. Lubię go za przedziwny w jego naturze rys *cantiv*³⁶, któremu zawdzięcza wygórowane

³⁴Jardin des Plantes de Paris — ogród botaniczny w Paryżu, zawierający także Muzeum Historii Naturalnej oraz ogród zoologiczny. [przypis edytorski]

³⁵Lawerna (mit. rzym.) — bogini złodziei i oszustów. [przypis edytorski]

³⁶cant (ang.) — żargon; obłuda, hipokryzja. [przypis edytorski]

mniemanie o swych zdolnościach. Mam mianowicie na myśli jego właściwość *de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas*³⁷.

³⁷*de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas* (fr.) — [zaprzeczanie temu, co jest, i wyjaśnianie tego, czego nie ma; część zdania mówiącego, że jest to mania wspólna filozofom wszystkich czasów; red. WL]; Rousseau, *Nouvelle Héloïse*. [przypis autorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-zabojstwo-przy-rue-morgue/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Opowieści tajemne*, tłum. S. Wyrzykowski, Instytut Wydawniczy "Biblioteka Polska", Warszawa 1924..

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6900-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.